Aleksander

Głowacki

Alkaloid

powergraph

Fajerwerki i wodotryski, czyli jak Wokulski po ścianach biegał

Fahrenheit Crew

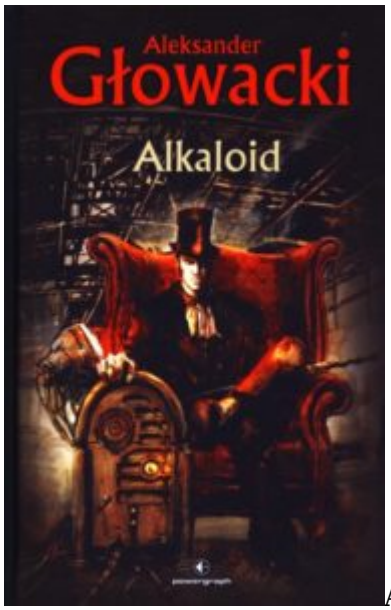

Aleksander Głowacki

Alkaloid

Powergraph 2012

Stron: 425

Cena: 45,00 zł

Od dziesięcioleci żywię prawdziwe nabożeństwo do książki Bolesława Prusa „Lalka”. Za inspirację historią, za realizm i za niemal dokumentalny obraz Warszawy sprzed stu lat z górą. Sięgam po tę książkę co kilka lat, rozkoszując się każdą stroną, podziwiają paradę pełnokrwistych bohaterów. I poczciwego Rzeckiego, subiekta i powstańca, i śliczną, egoistyczną Izabelę z watą cukrową zamiast mózgu, i zdecydowaną Wąsowską, którą dziś pewno okrzyknięto by feministką, i dobrą panią baronową Zasławską, po starczemu łagodną, idealistyczną i nieco naiwną. I przede wszystkim Wokulskiego, ideał prawdziwego mężczyzny: samodzielnego, operatywnego, konsekwentnego, o nieugiętym charakterze; człowieka, który potrafi zrezygnować z wybranki, mając do wyboru uczucie lub honor.

Powieść „Alkaloid” zwróciła moją uwagę najpierw obiecaną odmienną wersją losów Wokulskiego, a następnie pseudonimem jej autora. Uznałem, że Aleksander Głowacki to dyskretne mrugnięcie do czytelnika, niewypowiedziane: „ty to wiesz, ja to wiem, pobawmy się”. Nie ukrywam, że miałem nadzieję na lekturę w konwencji „Lalki”, dokonania Wokulskiego jako naukowca, którym oddał się po definitywnym zerwaniu z przeszłością. I w sumie otrzymałem je… tylko, niestety, po lekturze przyszło mi westchnąć: „Uważaj, człecze, o co prosisz, albowiem - nie daj Boże - będzie ci to dane”.

Bo Stanisław Wokulski został przez Aleksandra Głowackiego zgwałcony, przewinięty na drugą stronę i złożony z powrotem, niestety w nie najlepszym stylu. Z prusowskiego oryginału nie pozostało mu

nic prócz nazwiska. Kiedy dotarłem do sceny, w której bohater, umownie zwany Wokulskim (tylko po co…?), uwalnia tajemnicze moce i w towarzystwie chińskiej ni to kurtyzany, ni to księżniczki biega po ścianach jak bohaterowie filmów kung-fu albo Neo z „Matriksa”, zamknąłem tom i odłożyłem go. Na miesiąc z górą. I po przerwie doczytałem tylko dlatego, że zobowiązałem się do napisania recenzji.

Próżno by szukać w książce postaci z „Lalki”, które dzieliły z Wokulskim pasję naukową. Geist i Ochocki są ledwo wspomniani, w najlepszym razie pełnią rolę tła. Zamiast tego powaliła mnie eksplozja ponadzmysłowości, jak na mój gust nazbyt dziwna i przekombinowana. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że podczas pisania książka sprawiała autorowi niesamowitą frajdę, zwłaszcza gdy wymyślał kolejne niezwykłe zastosowania Alki. Niestety, mnie jako czytelnikowi takiej radości już nie sprawiła. Nadgorliwość jest gorsza od faszyzmu, Wokulski Głowackiego nazbyt przypomina mi nie do końca ludzkiego, nie do końca uczynionego pomniejszym bogiem Palmera Eldritcha. A to żadną miarą nie jest komplement – ani dla autora, ani dla bohatera.

Autor pokusił się o zaprezentowanie swojej wizji świata – i chwała mu za to, licentia poetica jest przywilejem autorów. Wizja nie jest ani lepsza, ani gorsza od innych – tylko dlaczego wykorzystał do tego znaną ogółowi czytelników postać, diametralnie ją zmieniając? Nie mam za złe Głowackiemu wielkiej koncentracji naukowych bądź paranaukowych terminów – boć między zrozumieniem i niezrozumieniem jego wizji leży tylko oczytanie i kondycja umysłowa czytelnika. Grzechem nie do wybaczenia jest jednak najmniejsza nawet sugestia, że bohater „Alkaloidu” ma cokolwiek wspólnego z bohaterem „Lalki”. Nie ma. Po mojemu został on użyty w sposób czysto marketingowy, i jako taki rolę swą spełnił genialnie, ale z fantastyczną koncepcją autora absolutnie się nie łączy.

Podróż przez świat całkowicie odmienny od znanego, tajemnicza bulwa i równie tajemniczy ekstrakt stanowią całkowicie odrębną historię, a jej postać główna spokojnie mogłaby nosić nazwisko Kowalski, Wiśniewski czy Nowak. Tak byłoby uczciwiej, czyściej i bardziej w porządku, i wobec Prusa jako autora, i wobec Wokulskiego jako bohatera. Doceniam zabieg, tak jak doceniam niektóre chwyty spotykane w reklamach, typu „Jeśli jesteś prawdziwym katolikiem, używaj tylko wody po goleniu Ostatnie kuszenie” – skrapianie policzków wodą kolońską do głębi wiary ma się nijak, ale slogan na uczucia działa. Niestety, umiejętne zastosowanie marketingowe postaci z Prusa to jedyna rzecz, o której mogę wypowiedzieć się pozytywnie. Bo stwierdzam z przykrością, że i rozbuchana wizja świata, i ponadludzko napompowani bohaterowie utonęli w oceanie niesmaku, który pozostał po zakończeniu lektury.

Atrakcyjny Kazimierz